

ODWAGA – JEJ CENA I NAGRODA

„Żydowską wojnę” napisałem z podziwu dla odwagi ojca i matki. Oni są głównymi bohaterami, w centrum i najmocniejszych punktach obrazu. Podział opowieści na dwie równe części: „Ojciec” i „Matka” jest symboliczny i symbolicznie w tej niekonwencjonalnej wojnie o życie wygrywa pierwiastek kobiecy. Odwaga ojca – choć reprezentuje on pierwiastek męski – jest jednoznacznie cywilna: *[N]ie mógł i nigdy nie starał się przewyciężyć w sobie wrodzonego lęku i wstrętu do broni. Obawiał się i czuł odrazę do pogańskiego zapatu decydowania o życiu i śmierci. [...] Nigdy nie starał się być odważnym. I bez tego chodził, gdzie było potrzeba, wynajdywał dla nas kryjówki i przynosił jedzenie. Chodził po nie tyle razy, a przecież nigdy nie był pewny, czy wróci. Robił to samo i potem, kiedy został w lesie z ciotkami, babką i dziadkiem, bez nas. Robił to pomimo strachu.* Zresztą i odwaga wojenna najczęściej polega na działaniu pomimo strachu: *Fizylierzy dostali medale za odwagę, a ja Virtuti Militari za strach, którego nie okazałem* – wyznaje Adam Bromberg, narrator mojego „Memorbucha”, który z brygadą czołgów zajął i zabezpieczył podminowaną przez Niemców prochownię mogącą lada chwila wybuchnąć i zabić tysiące ludzi.

Najodważniejszym z mężczyzn – świadomie podkreślam tu płęć – jest w „Żydowskiej wojnie” wujek Aron, który uratował mi życie z narażeniem własnego, gdy wyprowadził mnie od ojca z lasu i zawiózł do matki do Warszawy. Znał swoje możliwości fizyczne i odporność psychiczną, działał z całkowitą pewnością siebie, na zimno kalkulując działania, nie miał kompleksów i nie uznawał przewagi żadnego innego mężczyzny, choćby i uzbrojonego Niemca. Mogę o nim z całą pewnością powiedzieć, że nie znał strachu. Inny rodzaj odwagi reprezentował Gryz z Głębozycy, który mu udzielił schronienia – za darmo, bo Aron nie miał czym płacić. Takich przypadków było więcej. Mojżesz Siekierka, mleczarz z Mińska Mazowieckiego, zeznał po wojnie przed Żydowską Komisją Historyczną, że wraz z żoną i dwojgiem dzieci znalazł schronienie w zagrodzie Bolesława Bielickiego. *Drzwi dla was otwarte* – powiedział Bielicki i ukrywał ich do samego końca – też bez zapłaty – tyle że sami musieli sobie zapewnić wyżywienie. Gryz uczynił więcej od innych bezinteresownych ratowników: powiedział Aronowi, żeby kierował do niego każdego, kto potrzebuje pomocy. *Jakże piękna prawda artystyczna może się kryć w takiej postaci: człowiek o silnym charakterze, któremu chodziło nie tylko o ratowanie niewinnych ludzi skazanych na zagładę,*

lecz także własnej duszy; o przeciwstawienie się złu; o opór moralny wobec wroga; akt odwagi niezbędny człowiekowi dla podtrzymania swej godności, szacunku dla siebie samego – tak zinterpretowałem tę nadwyżkę odwagi w „Prawdzie nieartystycznej” (rozdz. „Życie jako dezintegracja”). Teraz dodałbym, że był to osobisty, prywatny, rycerski opór przeciwko złu. Szukałem Gryza, jego potomstwa lub jakichkolwiek krewnych, ale nikogo nie znalazłem. Dowiedziałem się tylko, że jacyś Gryzowie wyprowadzili się zaraz po wojnie na Pomorze. Może jak inni przenieśli się na lepsze, poniemieckie gospodarstwo, a może uciekli od zawistnych sąsiadów, przekonanych, że wzbogacili się, przechowując Żydów. I od takich, co w ogóle potępiali ratowanie Żydów. Nie znam jego imienia, wiem tylko, że był szwagrem Józefa Wieczorka, u którego myśmy się ukrywali.

Chłoptwo było zabobonne, grzech, mówili, nie pomóc – pisałem w „Żydowskiej wojnie”. Pisałem to w Polsce w 1965 r. – z romantycznej wyobraźni i niewiedzy. Prawda nieartystyczna okazała się bowiem przeciwna. *Jezus powiedział, że przyjdzie czas, kiedy wszyscy Żydzi wyginą z powodu grzechu, który popełnili.*

Przytaczam te fakty, aby podkreślić, że ratując żydowskie życie, stawiało się opór nie tylko władzy okupanta, lecz i podziemia, a także normom i mitom własnego środowiska, i że za taką odwagę płacono cenę wyższą od utraty życia. A jednak gospodarz spod Węgrowa dwa lata bezinteresownie ukrywał pięcioro Żydów: *Ojciec mówi: „Antoś, pomrzemy przez to”, a ja, że [i tak] wszyscy niedługo pomrzemy. I dzięki Bogu żyję, i oni żyją. Dla mnie to żadna sława, ale jak to miło komuś życie uratować.* Ten polski chłop postępował zgodnie z talmudyczną nauką, że dobry uczynek sam siebie nagradza, sam w sobie jest nagrodą. *Nie chcę na was zarabiać* – powiedział inny podwęgrowski gospodarz, który robił to samo wbrew przemożnej presji społecznej. Dla niego to była kwestia godności¹.

Do najważniejszych ludzi, jakich znałem, należał Janek Kostański, główny bohater opowieści „Szmuglerzy”² (w drugim wydaniu pod tytułem „Janek i Maria”), nastolatek, który przekradał się do getta tyle razy, ile chciał, i pojechał za swoimi żydowskimi przyjaciółmi do Treblinki, żeby ich stamtąd wyciągnąć – jedyny chyba taki wypadek w historii Holokaustu. Gdy okazało się, że zdołali zbiec z transportu, ukrył ich i pozostał z nimi w ruinach Warszawy, gdzie bez jego pomocy by nie przetrwali. Uważał, że postępuje normalne, naturalne, inaczej nie mógł. Podobnie pani Taborowa – niestety, znów nie znam imienia – która uratowała życie mojej matce i mnie, wpuszczając nas do mieszkania, gdy nie mieliśmy gdzie się podziać, i pozwoliła nam zostać parę tygodni – też

¹ Zob. S. F. Bielawski, *Ostatni Żyd z Węgrowa. Wspomnienia ocalałego z Zagłady w Polsce*, Warszawa 2015, s. 229–230.

² O. Warszawski, *Szmuglerzy*, Lublin 2018.

bez wynagrodzenia. A było to zaraz po powstaniu w getcie, gdy intensywnie ścigano zbiegłych Żydów. Nie wiem, w jakim stopniu o takim postępowaniu decydował świadomy wybór, a w jakim imperatyw kategoryczny, który nie daje wyboru i nakazuje postępować tak, a nie inaczej bez względu na konsekwencje.

W „Żydowskiej wojnie”, która – choć autobiograficzna – jest jednak powieścią pominąłem epizod z panią Taborową na rzecz bardziej efektownego: oto zdesperowana matka na końcowym przystanku tramwaju podchodzi do nieznanego małżeństwa, mówi im, kim jesteśmy i że *jeśli chcą, to mogą nam pomóc, a jak nie, to niech nas zaprowadzą do Niemców*. [...] *Ten pan zbladł, a pani zakryła dłonią usta... Po czym ten pan uchylił kapelusza i powiedział, że się nazywa Orliński, wziął od mamy walizkę i kazał nam z nimi iść*³. Nikt nigdy nie zakwestionował tej pięknej prawdy artystycznej i jestem przekonany, że takie wypadki się rzeczywiście zdarzały, ale dzisiaj wolałbym autentyczną prawdę nieartystyczną i żałuję tej swojej zręczności literackiej, tym bardziej, że pani Taborowej należy się medal Yad Vashem.

Tatiana Berenstein i Adam Rutkowski w studium „O ratownictwie Żydów przez Polaków w okresie okupacji hitlerowskiej” nazywali takie postępowanie *służbą w imię pohańbionej ludzkości*.

W ponurych czasach, gdy za nic miano życie ludzkie, mnie się wydawało, że każdy człowiek wydarty śmierci, to jakaś zdobyta pozycja, to najwłaściwsza forma walki z Niemcami – mówiła ratowniczką Irena Staškowa. *Nie wyobrażałam sobie, jak może człowiek bez obrazy swej godności nie wykonać tego*. [...] *Jeśli chcemy ocalić to, co jest w nas ludzkie, musimy właśnie tak postępować*. Uważała to za *protest przeciwko pohańbieniu człowieczeństwa*. W eseju pod tytułem „Imperatyw człowieczeństwa” (patrz „Monolog polsko-żydowski”) pisałem, że *ludobójstwo zwane Holokaustem zaczynało się od zabijania człowieka w człowieku*. Ratownicy jak Gryz czy Irena Staškowa nie pozwalali na to i uważali, że żadna cena ich postępowania nie jest za wysoka. Co więcej, bezinteresowna pomoc była proporcjonalnie skuteczniejsza od pomocy za wynagrodzeniem. Michał Okoński na podstawie badań Jana Grabowskiego wskazuje, że z 38 osób, które ocalały na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska, niemal połowa uratowała się dzięki pomocy nienastawionej na zysk⁴.

Ze względów kompozycyjnych pominąłem w „Żydowskiej wojnie” jeszcze inny szczegół – tym razem nie z nadmiaru, lecz raczej braku wyobraźni. Do wsi, gdzie przebywaliśmy na aryjskich papierach, zajechał samochodem niemiecki oficer i kazał sobie upiec kaczkę. Zadanie to powierzono mojej matce jako

³ H. Grynberg, *Żydowska wojna*, Warszawa 1989, s. 69.

⁴ M. Okoński, *Pustynia ludzka*, „Tygodnik Powszechny” 2011, nr 8.

najbardziej kompetentnej. Na kaczkę trzeba było poczekać, więc oficer postanowił udać się tymczasem na inspekcję okopów, przygotowywanych przed spodziewanym sowieckim natarciem. Wsiadając do samochodu, wskazał gestem, żebym z nim pojechał, na co się chętnie zgodziłem, ale napisałem, że uciekłem, bo zdawało mi się, że opis tamtej przejażdżki niczego do opowieści nie wniesie. Dopiero po przeczytaniu książki moja matka mi powiedziała, że dzieci przybiegły wtedy do kuchni, wołając, że Niemiec zabrał mnie i odjechał. A więc gdy ja cieszyłem się pierwszą w życiu przejażdżką samochodem, ona stała w tamtej kuchni i niemal dosłownie umierała. Ile męstwa – świadomie używam tu tego niesprawiedliwego wyrazu – trzeba było, żeby wytrwać w takiej sytuacji, nie okazując strachu? Zwłaszcza gdy słyhać było powracający samochód, który mógł wieść wyrok. Tę prawdę nieartystyczną można przywrócić w kolejnych wydaniach bez naruszenia kompozycji i czuję się do tego zobowiązany.



Henryk Grynberg z mamą Sarą i Marysią Jarząbek (Łódź, 1946 r.).
Fot. Archiwum rodzinne H. Grynberga

Zatem nie znam nikogo, kto wykazywał więcej odwagi niż ta młoda matka, która uczyła mnie patrzeć w oczy wrogiemu światu. – *Nie opuszczaj głowy* – powtarzała, gdy szliśmy ulicą. To było bardzo ważne. W dokumencie filmowym, pokazującym wyprowadzonych z bunkra, wycieńczonych obrońców Monte Casino – tak, Niemców – jest moment, gdy stoją w szeregu i jeden z nich zwiesza głowę, a stojący obok kolega mu ją podnosi. U mojej matki było to jednak coś więcej niż duma. Ona codziennie patrzyła w oczy światu, który mógł w każdej chwili nas zamordować. Dużo łatwiej by jej było beze

mnie, obrzezanego małego chłopca, który był rzeczowym dowodem przeciwko niej, ale nie chciała wygrać tej wojny za cenę życia swojego dziecka i rzucała w ten sposób podwójne wyzwanie naszym wrogom. *Czuła to, co się najczęściej przypisuje mężczyznom, a co odczuwa przede wszystkim kobieta, kiedy zostaje matką – komentowałem w „Żydowskiej wojnie”. To że zrobiła i robi swoje, to, co najważniejsze i co naprawdę ma do zrobienia. Nic nie jest wtedy w stanie zmusić jej do ustąpienia, choćby nie wiem co miał przeciwko temu cały świat ze swoim histerycznym straszaniem śmiercią. Dlaczego tej siły nie biorą pod uwagę ani cywilni, ani wojskowi w swoich planach? Tej siły matek.*

A nie była to całkowicie zasymilowana inteligentka czy nawet mieszcanka z Warszawy, Krakowa lub Lwowa, lecz niedoświadczona młoda kobieta z niepełnym średnim wykształceniem, z małego żydowskiego miasteczka i ortodoksyjnej rodziny. Udając nie-Żydówkę w kraju i kulturze, gdzie bardzo trudno ukryć żydowskie pochodzenie, wzięła na siebie rolę, do której była mało przygotowana i grała ją dzień w dzień. Było to na Podlasiu, w rejonie Jedwabnego, Radziłowa i tym podobnych miasteczek, gdzie zmasakrowano miejscowych Żydów i opowiadano o tym ze szczegółami, a ona musiała słuchać, nie okazując przerażenia. Nauczyłem się wtedy od niej ukrywać prawdziwe uczucia, co mi się bardzo przydawało również po wojnie.

Wniosek końcowy: odwaga jest koniecznością, jej cena wysoka, ale jeszcze wyższa nagroda.